WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr 106 5 IX 1989 r. Cena 90 zł

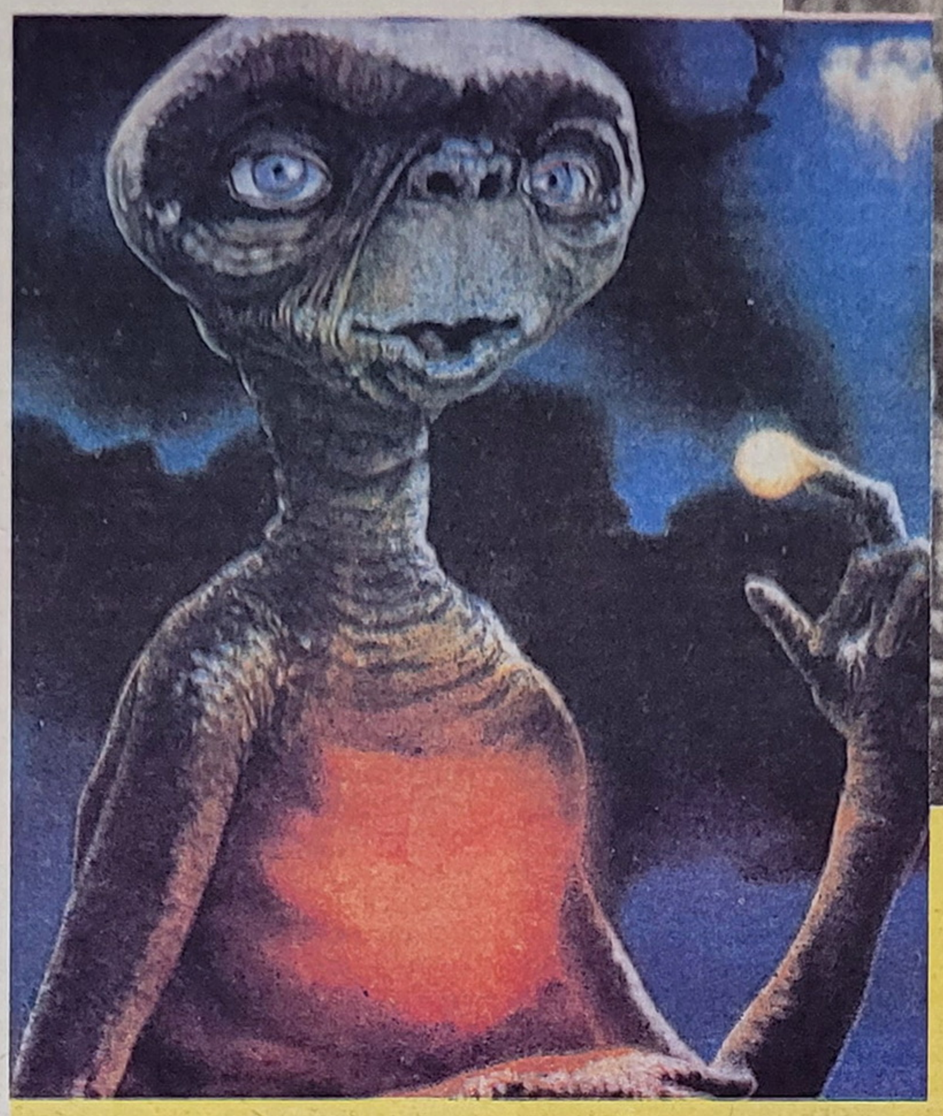

REPORTER Świata Młodych

Cześć!

Serdecznie witam w nowym roku szkolnym! Myślę, że po wakacjach wyglądacie zdrowo, macie sporo wrażeń i jesteście wyżsi o parę centymetrów. Sądzę też, że włączycie się do tematu proponowanego przez Ligę Reporterów, który brzmi:

TEGO NIE MOŻNA ZAPOMNIEĆ

Dotyczy on wydarzeń sprzed 50 lat, czyli września 1939 roku, kiedy rozpętana II wojna światowa wciągnęła w swoje tryby miliony Polaków. To właśnie spisanie ich opowieści jest Waszym zadaniem. Pierwsza opowieść już dziś na stronie 2. Przypominam, że na autorów czekają nagrody.

Szef
Ligi Reporterów

Czy warto wszystko wiedzieć?

Nieraz się pewno zastanawialiście, czy wiedza o tajnikach produkcji najbardziej emocjonujących obrazów nie przeszkadza w odbiorze, czy zrozumienie tego, co wydaje się tajemnicze, nie odbierze filmowi atrakcyjności... Z pewnością nie! Jeśli świadomi kulis produkcji dajemy się bez reszty porwać filmowej opowieści, to śmiało możemy powiedzieć, że oglądaliśmy dobry film. I będzie to zdanie – nie zwykłego „oglądacza", ale wymagającego Myślącego Widza. ■

NIE ZABIJAJ NAS!

Nazywam się ropucha szara, żyję w lasach, parkach, ogrodach, często w pobliżu waszych, ludzkich siedzib. Jestem z natury długowieczna, ale grozi mi przedwczesna śmierć z powodu tępienia. Tymczasem to ja tępię mnóstwo szkodliwych dla rolnika i ogrodnika owadów, stawonogów itp. stanowiących moje pożywienie. Nie jest natomiast prawdą, że zjadam owoce w ogrodach i powoduję duże straty. Prawdą natomiast jest, że dysponuję toksyczną piekącą wydzieliną, ale używam jej tylko w obronie własnej, przeciw wrogom. Sama nikogo nie zaczepiam.

Nazywam się żmija zygzakowata. Jestem jedynym w naszym kraju jadowitym wężem. Żyję w podmokłych lasach, na polankach, połoninach, w stosach kamieni. Można mnie spotkać w trzech szatach: szarej z czarnym zygzakiem, burej też z zygzakiem i całej czarnej. Dysponuję silnym jadem, ale zębów jadowych używam tylko przeciw tym, którzy mnie drażnią, a także w trakcie polowań. Łowię głównie myszowate gryzonie, które, gdy występują w nadmiarze, stają się szkodnikami. A jednak w większości ludzi mam wrogów. Za moją jadowitość cierpią też krewniacy - niejadowite zaskrońce, gniewosze czy beznogie jaszczurki – padalce. Dzieje się tak pomimo otoczenia nas wszystkich ochroną!

Nie zabijajcie nas! Pełnimy w przyrodzie należną nam rolę. Chcemy korzystać z przyznanej nam ochrony gatunkowej! **(tok)**

Fot. **T. Kłosowski**

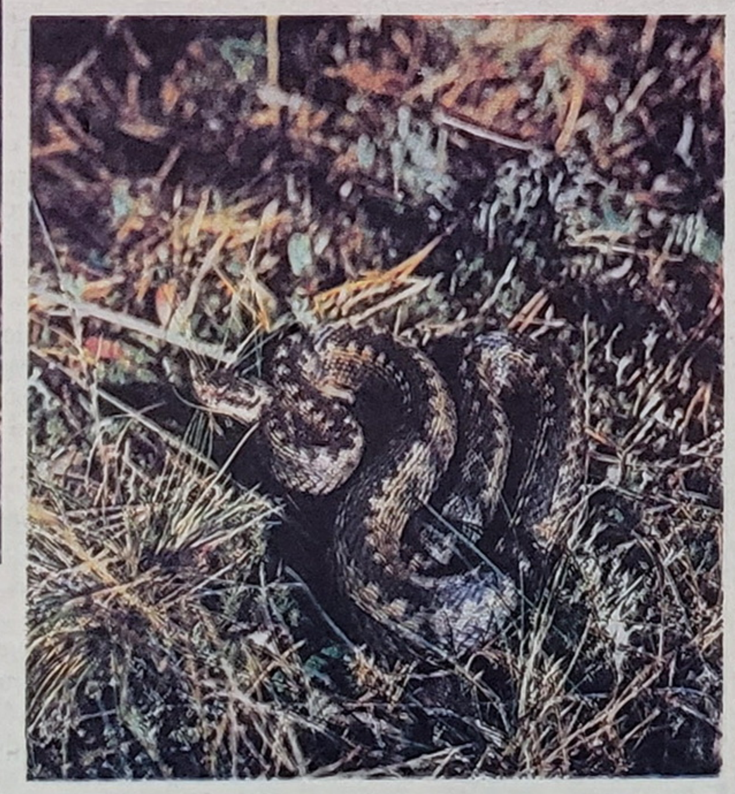

Wakacyjny Konkurs Poetycki

Chwilo, trwaj! Jesteś tak piękna

FIRMA POETYCKA ZŁOTY SZERSZEŃ

★ ★ ★

I popatrz, znowu wieczór, znów mówisz
„lampę zapal".
Od tylu dni to samo: noc, lampa i te świerszcze.
Sfrunęła ćma do światła i naokoło lata,
Mój kot tuż obok usiadł i mrucząc czyta wiersze.
...
Już późno. Psy szczekają. Noc łasi się do okien,
Cichutko tyka zegar i wszystko jest jak co dzień.
Mój kot, miauknąwszy z wzgardą, wychodzi dumnym
krokiem,
By znów, aż do świtania, włóczyć się po ogrodzie.

Ewa
woj. białostockie

Tych, którzy będą brać udział w plebiscycie na najlepszy wiersz wakacyjnego konkursu poetyckiego, proszę o zachowanie utworu Ewy i porównanie go z innymi. **(brz)**

Tylko dla smakoszy

W Paryżu ukazuje się tygodnik „Sól i pieprz". Składa się z dwóch stron z... nieprzemakalnego papieru. Pismo przeznaczone jest dla tych, którzy lubią czytać przy jedzeniu lub pakują śniadanie w gazetę. „Sól i pieprz" przynosi kronikę towarzyską i anegdoty.

Mnóstwo zabytków, malownicze, kręte uliczki starego miasta, muzea, planetarium i obserwatorium astronomiczne. No i bliskość niezliczonych jezior oraz mazurskich lasów. Te walory sprawiają, że latem Olsztyn przyciąga tysiące turystów. Jest wśród nich wielu gości zagranicznych, którzy zresztą chętnie bywają tu przez cały rok. Wycieczki najmłodszych – jak np. ta, pokazana na zdjęciu – też stanowią w czasie wakacji stały motyw w krajobrazie wiekowego grodu.

REPORTER Świata Młodych

TEGO NIE MOŻNA ZAPOMNIEĆ

Opowieść z Pohulanki

Moja ciocia Teresa powiedziała mi, że nigdy nie zapomniała wydarzeń mających związek z wojną. Oto mój zapis:

„Urodziłam się w Wilnie, do którego moi rodzice przybyli z Warszawy, po studiach. Próbowali tu robić jakieś interesy w pewnej spółce, gdzie mama, z wykształcenia inżynier chemii, miała zajmować się technologią produkcji win. Ze spółki nic nie wyszło, rodzice byli nawet poszkodowani finansowo i kiedy ja się urodziłam, mama była już nauczycielką chemii w gimnazjum, tata pracował w bankowości. Mieszkaliśmy na Dużej Pohulance. Wrzesień 1939 roku zastał mnie ciężko chorą, miałam bowiem dyfteryt i wysoką gorączkę. Ojciec poszedł na wojnę, zostałyśmy same z mamusią i starszą siostrą. Z powodu mojej choroby mamusia w ogóle nie schodziła do schronu podczas bombardowań i siedziała przy moim łóżku. Dobrze za to pamiętam, że jak weszli żołnierze Czerwonej Armii, to Litwini witali ich w strojach ludowych. Podobnie zachowywali się, gdy po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej do Wilna weszli hitlerowcy. Było to dla nas Polaków dość dziwne...

Z czasów niemieckiej okupacji dobrze pamiętam, jak Niemcy wyprowadzali z domów Żydów. Mieliśmy sąsiada, krawca z zawodu, pamiętam jeszcze jego nazwisko: Zelman. Otóż jego syna, chłopca będącego w naszym wieku „nawracałyśmy" na naszą katolicką wiarę wystawiając na balkon biało-niebieską figurkę Matki Boskiej! Chłopak bardzo się na to złościł i nawet pluł w naszym kierunku, ale myśmy – ilekroć pojawił się na balkonie – znów wynosiły figurkę... Rodzice o naszych demonstracjach religijnych nic nie wiedzieli, bo na pewno nam by zabronili. Otóż potem podczas okupacji widziałam jak krawca i jego syna prowadzono ulicą. Wiedziałyśmy, że czeka ich straszny los, ponieważ było wiadomo, że Żydów wywożą do Ponar i tam ich rozstrzeliwują. To było potworne.

Było nam bardzo ciężko, gdyż mamusia przestała uczyć w szkole i żyłyśmy we trzy (miałam o rok starszą siostrę) z wypieku pączków. Było trudno o produkty na owe pączki, ale usmażone można było łatwo sprzedać w małych sklepikach spożywczych i cukierenkach. Pączki każdego dnia pachniały w naszej kuchni, ale myśmy ich nie jadały. Czasem jakiś „wyskrobek" trafiał w nasze łakome i co tu mówić: wygłodniałe usta. Na ogół odżywiałyśmy się ziemniakami. Mama jesienią chodziła do zarobkowego kopania kartofli na Antokol, skąd wracała z workiem tych specjałów. Najczęściej były ścierane na tarce, do nich dodawała mama cebulę, a czasem i jakiś tłuszcz i wstawiane były do piekarnika. Była to smaczna ziemniaczana babka i dziś zresztą chętnie ją przyrządzam.

Kiedy Niemcy przegrywali wojnę w 1944 roku i opuszczali Wilno – podpalali domy, nasz na Dużej Pohulance też zaczął płonąć. Siedziałyśmy właśnie w piwnicy, która służyła za schron. Ratowałyśmy się biegnąc przez płonącą klatkę schodową na zewnątrz. Nie mogłyśmy zabrać absolutnie nic z naszego mieszkania, gdyż spłonęło. W niedalekim sąsiedztwie mamusia znalazła opuszczone przez litewską rodzinę puste mieszkanie i tam się schroniłyśmy. Ponieważ nie miałyśmy żadnych garnków, mama wraz z nami wybrała się do wypalonego domu i tam, stojąc na krawędzi ocalałego muru, usiłowałyśmy kijem strącić patelnię, która wisiała nad kuchenną płytą naszej kuchni. To była cała operacja zdobywania tej patelni, uwieńczona sukcesem.

Choroby prześladowały mnie, toteż pierwsze tygodnie władzy radzieckiej w 1944 roku znów przebyłam w łóżku chora na szkarlatynę. Mamusia pracowała wówczas w stołówce, siostra zaś w piekarni. Ja leżałam sama w domu i ponieważ nie miałam co czytać – śpiewałam sobie wszystkie znane mi piosenki. Nudziłam się okropnie. Chrobot klucza w zamku drzwi był wielką radością – wracała mamusia. Przynosiła ze sobą gęstą zupę z kawałkami świńskiej „tuszonki", było to wspaniałe i nic równie mocno nie smakowało mi. Byłam wygłodzona i te kawałki mięsa wydawały się przepysznym przysmakiem W 1944 roku miałam 14 lat.

Pierwszy dzień po chorobie był dla mnie niezwykle pechowy. Wybrałam się – już nie będąc „zaraźliwa" – do mojej koleżanki Wandy, a tam był tak zwany „kocioł". NKWD, które w tym czasie dokonywało licznych deportacji Polaków, często dając im 15 zaledwie minut na spakowanie całego dobytku na podróż w nieznane, zrobiło zasadzkę w mieszkaniu matki Wandy. Kto wszedł, ten wyjść już nie mógł. Ja również. Tkwiłam w tym mieszkaniu przez całe 6 dni! Po wyczerpaniu się wszelkich domowych zapasów wiktuałów 20 osób przebywających w mieszkaniu (bo nawet sąsiadki, które wpadły z pytaniem: „która godzina" też nie mogły wyjść) jadło wyłącznie pomidory, gdyż akurat była ich cała skrzynka. Moja mama denerwując się, co się ze mną dzieje, a wiedząc, że poszłam do Wandy (zostawiłam kartkę), przechadzała się po drugiej stronie ulicy. Widziałam ją z okna, ale nie można się było do niego zbliżyć. Pilnowali nas funkcjonariusze NKWD ubrani w skórę, co doskonale pamiętam. Rozpracowywali AK i każde pytanie, a stale nas „odpytywano", dotyczyło tego tematu. Co pewien czas zwalniali po 1-2 osoby, ale resztę straszyli, że „źle z nimi". Po sześciu dniach opuściłam tę pułapkę, ale matka Wandy już nigdy do swej córki nie powróciła, zginęła na Łukiszkach.

W 1945 roku w czerwcu, 31 transportem z Wilna, przyjechałyśmy jako repatriantki do Lublina do siostry Tatusia. Można było wybrać Koszalin, ale ze względu na rodzinę przyjechałyśmy właśnie do Lublina. I pewnego dnia – to był niezwykły epizod już powojenny – patrzymy, a przez podwórko idzie nasz Tatuś! Cóż to była za radość. Lata wojny przebył jako jeniec najpierw na Węgrzech, a potem w okolicach Berlina, skąd zresztą uciekł wraz z kolegą na rowerach. Wstąpił do Lublina, by się przywitać z siostrą, ale zamierzał przedrzeć się do Wilna, do nas. Rozmowom nie było końca, okazało się, że parę paczek, które trafiły do nas do Wilna za okupacji niemieckiej, były wysłane jego staraniem. Paczki zawierały kilka puszek sardynek i kawę i nosiły stempel... Portugalii. Mamusia bardzo się dziwowała tym paczkom, ale do głowy jej nie przyszło, że to jej mąż – jeniec wojenny – za pośrednictwem jakiejś organizacji sprawia, że do Wilna przychodzą paczki z Portugalii!"

Moja ciocia ukończyła potem SGGW i choć ich rodzina musiała „od zera" dorabiać się wszystkiego, zachowała pogodę ducha i życzliwy stosunek do ludzi. Niedawno była wraz ze swoim mężem na wycieczce w Wilnie i stwierdziła, że jest to piękne miasto, w którym troska o zabytki jest systematycznie realizowana.

Barbara Ł.

BIURO POD

Niegdyś z zapałem zbierałem plakaty zespołów muzycznych i solistów. Mam ich wiele. „Wyrosłem" już z tej pasji i obecnie fascynuje mnie filatelistyka. Kolekcjonowanie znaczków daje mi wiele radości. Pamiętam jednak, z jakim trudem gromadziłem plakaty i chciałbym teraz dać szansę innym zbieraczom. Proponuję im wymianę plakatów na znaczki pocztowe. Mam nadzieję, iż w ten sposób sprawię radość niejednej osobie, a sam wzbogacę swą kolekcję. **Stanisław Kurek, ul. Polna 25, 21-040 Świdnik;** • Jestem zapalonym szachistą. W zamian za publikacje dotyczące tej królewskiej gry oddam komiksy, adresy firm z całego świata lub zapłacę. Szczególnie zależy mi na książce K. Keresha „Teoria debiutów szachowych", **Janusz Krawczyk, Lipiny 33a, 33-206 Luszowice;** • Fascynują mnie konie. Chcę wiedzieć o nich jak najwięcej i dlatego poszukuję książek: E. Sasimowskiego „Przewodnik do ćwiczeń z hodowli i użytkowania koni", A.C. Ville'a „Biologia", J. Zwolińskiego „Hodowla koni", Blendigera „ABC zdrowia konia". Tym, którzy zechcą mi pomóc, oferuję książki: Verne'a „Piętnastoletni kapitan", L. Borskiego „Talizman z błękitnego kraju", H. Korn-Żuławskiej „Wakacje kończą się we wrześniu", J. Mrzygłoda „Polski sport przedstawia się", K. Makuszyńskiego „Szaleństwa panny Ewy". Mogę także zapłacić, **Klaudia Kasior, ul. Szczecińska 61, 26-600 Radom;** • Poszukuję podręczników do drugiej klasy LO, książek Lucy Maud Montgomery oraz wiadomości dotyczących gitary. Interesuję się sztuką. Byłabym wdzięczna, gdyby ktoś zechciał pomóc mi w poszerzeniu wiedzy dotyczącej malarstwa, rzeźby i architektury. Odwdzięczę się informacjami z innych dziedzin, m.in. botaniki i zoologii. Oferuję również plakaty i wiele numerów „Gazety Młodych" z 87, 88 i 89 roku, **Renata Marzec, ul. Leśna 37/4, 32-312 Jaroszowiec;** • Uwielbiam Sylwestra Stallone. W zamian za zdjęcia mojego idola odstąpię książki: M. Rodziewiczówny „Lato leśnych ludzi" cz. 1 i 2, J. Okonia „Czerwonoskóry generał", C.S. Lewisa „Książę Kaspion". Jeżeli ktoś bardzo się uprze, to oddam nawet... zdjęcia Arnolda Schwarzeneggera! **Anna Hernik, ul. Moniuszki 22/4, 26-600 Radom;** • Bardzo pilnie poszukuję książki K. Siesickiej „Beethoven i dżinsy" oraz materiałów dotyczących Papa Dance. Osobie, która zechce mi pomóc, oferuję plakaty piosenkarzy, a także książki: E. Nowackiej „Słońce w kałuży", K. Sienkiewicz „Haftowane gałgany", E. Małkowskiej „Ciuch z pomysłem", A. Lewkowskiej „Mechaniczny rycerz", J. Rurańskiego „Dlaczego woda jest mokra...?", K. i A. Szklarskich „Złoto Gór Czarnych", t. 2, Proponuję też komiksy: „Tytus, Romek i A'Tomek" ks. XVII, „Bunt olbrzymów", „Hernan Cortes i podbój Meksyku", **Aneta Skrzypiciel, ul. Spacerowa 35/8, 42-400 Zawiercie.**

KĄCIK PRZYJACIÓŁ

• Mam 13 lat. Bardzo chciałabym nawiązać korespondencję z kimś, kto interesuje się strzelaniem. Ja niestety nie mam (a raczej bardzo rzadko) warunków do uprawiania tego sportu. Mieszkam w niewielkim miasteczku. Jeśli kogoś zainteresuje moja propozycja, proszę o list, **Magda Podlaska, ul. 1000-lecia 1c, 08-520 Dęblin;** • Jestem trzynastolatkiem. Chciałbym poznać osoby, które kolekcjonują banknoty, monety i znaczki sprzed II wojny światowej, **K. Bielecki, ul. 16 Stycznia 122/18, 42-200 Częstochowa;** • Mam 14 lat. Uczę się bardzo dobrze. Lubię słuchać muzyki i uprawiać sport, szczególnie piłkę nożną. Pragnąłbym poznać dziewczynkę lub chłopca, z którymi mógłbym korespondować, **Grzegorz Grabowski, ul. XXX-lecia PRL 24, 07-306 Brok;** • Chodzę do III klasy. Mam dwuletniego brata i nadzwyczajnych rodziców. Uczę się wzorowo. Jestem przewodniczącą klasy. Interesuję się malarstwem – to moje hobby. Zbieram znaczki. Przezywają mnie „Turystka", co bardzo mi się podoba. Chciałabym, aby ktoś do mnie napisał, **Anna Tomasik, ul. Żwirki 26/12, 90-528 Łódź;** • W czerwcu skończyłam 13 lat. Mam przyjaciółkę Magdę, która jest fantastyczna i ma fioła na punkcie kwiatków doniczkowych. Posiadam jeszcze psa, suczkę. Jest to moja zwariowana i bardzo żarłoczna pupilka. Ja interesuję się roślinami, uwielbiam Michaela Jacksona i trochę muzykę heavy metalową. Jeśli ktoś zechce dowiedzieć się o mnie czegoś więcej, niech napisze, **Barbara Kluska, ul. Opolska 35/264, os. XXX-lecia PRL, 31-276 Kraków;** • Chodzę do VIII klasy. Uczę się dobrze. Gram na fortepianie. Interesuję się muzyką poważną, sportem. Zbieram papierki po czekoladkach. Pragnę nawiązać korespondencję z osobami w wieku 12–16 lat. Nie zwlekajcie, piszcie, **Marlena Lenarciak, Rusocin 30/10, 83-031 Łęgowo;** • Jestem piętnastolatką o szarych oczach i wesołym usposobieniu. Interesuję się historią starożytnego Rzymu i Egiptu oraz okresem II wojny światowej. W wolnych chwilach czytam książki, oglądam filmy lub słucham muzyki. Uwielbiam grę w koszykówkę i jazdę na rowerze. Chociaż mam dużo koleżanek i trochę mniej kolegów, pragnę poznać nowych ludzi, **Jowita Tupalska, ul. Słowackiego 29/9, 89-300 Grudziądz;**

Czy te kłopoty to głupstwa?

Drogi różowy pasku! Chodzę do V kl. szkoły baletowej. Przedtem byłam w muzycznej. Wszyscy na podwórku śmieją się ze mnie. Nazywają mnie np. „Skrzypaczką", śmiejąc się ironicznie. Poza tym mnie obgadują, że „skrzypię" na skrzypcach, a gdy idę ulicą, wytykają palcem mówiąc: o, idzie baletnica. Wszyscy sądzą, że jeżeli jestem w takiej szkole, to jestem nader szczęśliwa, więc mogą mi dokuczać. Poza tym nie jestem zbyt ładna. Tylko na podwórku jestem uważana za ładniejszą. Mimo to nie mam dobrych koleżanek. Tylko jedną z podwórka, Anię. Mieszkamy na tym samym piętrze, w tym samym bloku.

A w szkole mam Maję. Właściwie to by była dobrą koleżanką, gdyby nie inna dziewczyna. Zabiera mi Maję. Zawsze wszystko robi, żeby Maja się ze mną nie zadawała lub żebyśmy się kłóciły. Innych też namawia, żeby się ze mną nie zadawać. Poza tym mnie obgaduje.

Nie umiem wszystkiemu zaradzić. Poza tymi kłopotami mam inne, których już nie wymieniam, bo list byłby za długi. Co mam robić, by tak nie było? Jak się myśli o tych kłopotach, można powiedzieć, że to same głupstwa. Ale ja naprawdę już nie mogę tego znieść.

Raz, gdy ta dziewczyna zaczęła mi zabierać Majkę, rozpłakałam się. W końcu w akcję wszedł mój tata. To na trochę pomogło, ale ona zaczyna znowu swoje. Pomóżcie mi, co mam robić.

Pyza

Zrozumieć chłopaków

Jeszcze nie skończyłam 13 lat. Rozumiem już wiele spraw. Uważam, że chłopców też trzeba rozumieć.

Chłopak w wieku 12–15 lat dorasta. Dorastając chce być zauważany. Lubi, kiedy się może pochwalić czymś nowym (choćby dżinsową kurtką) i tym samym imponować innym, a zwłaszcza dziewczynom. Używając słów typu: „klawo", „fenomenalnie", „byczo", „lustrzano", „elegancko" uważa, że wzbudza większe zainteresowanie, że jest oryginalniejszy. Chce tym ściągnąć na siebie uwagę.

Według mnie mało jest chłopców, którzy uważają, że uczucia należy cenić wyżej niż seks. Ja jestem po stronie uczuć. Pomimo wszystko uważam, że chłopców należy zrozumieć i polubić. Przecież w końcu wyrosną z nich dzielni mężczyźni.

Być może teraz dziewczyny nadeślą do redakcji listy na temat przeze mnie poruszony. Proszę bardzo.

A co chłopcy o tym myślą? Pozdrawiam wszystkich chłopaków. No i dziewuchy też. Trzymajcie się!

Lily

Jaka rada?

Jesteśmy uczennicami kl. VII. Nasza klasa była najlepsza pod względem zachowania, a w tym roku uległo to zmianie. W naszej nowej szkole są szatnie, w których zmieniamy obuwie. Po skończonych lekcjach chłopcy z naszej klasy, upatrzywszy sobie jakąś dziewczynę, rzucają się na nią i obmacują! Obrona jest nieskuteczna, dziewczyny, które chcą bronić koleżankę, w krótkim czasie same padają ich ofiarą. Poza tym chopcy uprawiają grę w tzw. pudełko. Polega ona na zadawaniu pytań i wydawaniu rozkazów, które są brutalne i obraźliwe dla nas.

Nauczyciele nie rozumieją tego i obwiniają nas.

Dziewczyny

WYCIECZKA NA ROWEROWEJ RAMIE

Czuję blask i zapach tamtego lata; było tak bardzo słoneczne. I pełne jakiegoś niepokoju. Wiadomości dochodzące z radia budziły potrzebę dzielenia się nimi. Mój Tatuś, nie mając z kim wymienić myśli – były właśnie wakacje, pora nauczycielskiego odpoczynku – dużo ze mną rozmawiał. Miałam 10 lat i byliśmy tylko we dwoje. Przeszłam właśnie do piątej klasy. Za rok miałam dostać rower, prawdziwą damkę. Na razie jeździłam pod ramą wielkiego roweru Taty. Komicznie wygięta potrafiłam nawet wozić na nim braciszka koleżanki Krysi.

Do miasteczka przyjechał cyrk i była to nadzwyczajna atrakcja! Znikałam z domu na długie godziny. 50 lat temu nie było telewizji, wyprawa do kina w mieście powiatowym – Biała Podl. – stanowiła ewenement. Jechało się klekocącym autobusem, a przebycie nim 17 kilometrów wydawało się podróżą. Kiedy więc cyrk rozbijał swój namiot – no! Sztuki mrożące krew w żyłach na trapezie! Kobieta bez kości! Nie na każde przedstawienie chodziło się z biletem w ręku. Można się było zaprzyjaźnić z cyrkowym rówieśnikiem, a wówczas, choć było to surowo zabronione przez dyrektora i właściciela w jednej osobie, podnosił on ukradkiem dół cyrkowego płótna i myk do środka!

W cichej i pustej podczas wakacji szkole odbywały się pogadanki. Instruktor LOP (Liga Obrony Przeciwlotniczej) objaśniał jak zabezpieczyć szyby w oknach domów, jak je zaciemniać. A więc zbliżała się wojna! Przerażała mnie, uszyta z żółtej jak kanarek flanelki, wypełniona węglem drzewnym – maska gazowa. Miała zabezpieczyć przed gazem... Próbując sobie wyobrazić, że będę jej musiała użyć – już po minucie trzymania przy twarzy dusiłam się; brakowało mi powietrza.

Wojna przyszła do Łomaz dość cicho. Bardzo wczesnym rankiem 1 września Niemcy zbombardowali wytwórnię samolotów w Białej, ale ja nic nie słyszałam. W południe przejechał obok domu, w którym mieszkaliśmy, mały samochód. Wiózł jednego z inżynierów wytwórni. Były z nim jego dzieci i żona. Prosił o wodę do chłodnicy, widać w popłochu ucieczki stracił głowę. Na szosie pozostała po samochodzie smużka dymu, rzadko tędy przejeżdżał taki mały wóz osobowy „pchełka", pachniało nowoczesnością. Przystąpiliśmy do kopania schronu przeciwlotniczego i Tata powiedział, żebym sobie przygotowała przedmioty, na których mi najbardziej zależy. Oczywiście wzięłam lalkę i „Serce" Edmunda de Amicis, moją ukochaną książkę. Ojciec kazał mi się przebrać w marynarski mundurek z granatowej wełny, aby „na wszelki wypadek" mieć coś cieplejszego na sobie. Było mi piekielnie gorąco.

Schron kopało prawie całe grono nauczycielskie, a my – dzieci – bardzo byliśmy ciekawi, jak to w takim schronie jest. Miał kształt litery „L", zamiast dachu leżały na nim gałęzie. Samolotów żadnych jednak nie było, spokojnie wgniataliśmy w wilgotne ściany schronu kamyczki, żeby ten ziemny „domek" ozdobić. Dorośli wyrażali oburzenie, że Niemcy uderzyli na Polskę bez wypowiedzenia wojny. „A to taki kulturalny naród". Pocieszali się, że wkrótce nasi potężni sojusznicy: Francja i Anglia tak im przyłożą, że wojna nie będzie długo trwała. Ale jakoś nie przykładali, choć wszyscy bardzo się radowali, kiedy sojusznicy wojnę III Rzeszy wypowiedzieli.

Ojciec był pewien, że ojczyzna go wezwie, że dostanie kartę mobilizacyjną, jak jego młodsi koledzy – nauczyciele. Zdecydował odwieźć mnie do krewnych w powiecie chełmskim, bo jak pójdzie do wojska, to kto się mną zaopiekuje? Problem transportu w warunkach toczącej się wojny i pociągów zajętych na cele wojskowe był skomplikowany. Postanowił, że pojedziemy rowerem. W pierwszych dniach lipca odbył parodniową wycieczkę z młodymi rowerzystami z miasteczka do Brześcia, znał więc trasę i zdecydował, że polnymi drogami będzie najbezpieczniej. Zapakowaliśmy się bardzo szybko i pożegnali ze znajomymi, polecając psa Wabika i mieszkanie opiece sąsiadów. Miałam jechać na ramie roweru, toteż, żeby było mi miękko, tata spiął agrafką poduszkę zdjętą z krzesła. Na bagażniku ulokował moje fatałaszki, przytroczył sobie do pleców turystyczny worek i obładowany jak wielbłąd wyruszył ze mną na ramie w drogę.

Pogoda była upalna i było mi piekielnie niewygodnie, gdyż pierze z poduszki bardzo szybko osuwało się na dół i siedziałam na metalowym drążku jak ptak na gałęzi. Z ulgą zeskakiwałam na ziemię, gdy koła roweru zakopywały się w piach polnej drogi i trzeba go było prowadzić. Nie musiało to być łatwe z takim obciążeniem! Tatuś zdecydował się na szosę, zdenerwowany, że nasza podróż przeciąga się, a w domu przecież może czekać na niego wezwanie do wojska!

Gdy tylko wjechaliśmy na szosę, okazywała się ona celem pikujących z góry niemieckich samolotów. Z dużym mistrzostwem dzielni lotnicy zniżali swoje maszyny i ostrzeliwali takich jak my cywilów. Kiedy dobiegało buczenie nadlatujących samolotów, jak najszybciej staraliśmy się prysnąć w bok od szosy. Zboża były już ścięte, na polach zostały tylko kartofliska i buraki. Z zazdrością myślałam o tych, co w „naszym" schronie w Łomazach siedzą sobie „bezpiecznie", podczas gdy my – jak zające – kryjemy się w bruzdach. Tatuś osłaniał mnie sobą, ale wtedy też drżałam, że coś mu się stanie.

Większe grupy polskich żołnierzy spotkaliśmy dopiero nad Bugiem w okolicy Brześcia. Bardzo pomęczeni, moczyli stopy w rzece, byli przygnębieni. My też dotarliśmy tu ostatkiem sił, bo rower się zbuntował, coś się zepsuło, urwało. Żołnierze poratowali, zreperowali uszkodzenie. Starali się dodać ducha cywilom. Mówili nam, że na linii Bugu zbiorą się rozproszone siły, by odeprzeć Niemców i że stanie się to momentem zwrotnym w wojnie.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Zapamiętałam krótki odpoczynek we Włodawie w małej, żydowskiej herbaciarni. Do jedzenia nic w niej już nie było, ale stara Żydówka w peruce przyniosła nam do stolika dwie szklanki herbaty czy raczej jakiejś wody z sokiem. Opowiadała, że została sama, gdyż młodzi udali się w drogę na wschód, uciekając przed Niemcami. Użalała się też nade mną, ale ja nie lubiłam, by się nade mną ktoś użalał.

1 września 1939 roku wczesnym rankiem spadły pierwsze niemieckie bomby na polską ziemię

Fot. arch.

Zmrok zaskoczył nas na zatarasowanej samochodami drodze. Niektóre leżały bokiem zepchnięte do rowu. Skończyła się benzyna i były całkowicie nieprzydatne. Zrozpaczeni właściciele porzucili je i dalej poszli piechotą, inni czekali nie wiadomo na co. Już po ciemku dotarliśmy do chałupiny stojącej pod lasem. Pozwo-

CIĄG DALSZY NA STR. 4–5

TRICK – ABRAKADABRA Z KLUCZEM

Kino – to świat iluzji, świat wielu pasjonujących tajemnic, świat zmienny i wciąż doskonalący się. Wiele przeszło przemian od czasów dokonania przez braci Augusta i Ludwika Lumière pamiętnego wynalazku – aparatu, który pozwalał na sfotografowanie ruchu. Stało się to, jak zapewne pamiętacie, w 1885 r. A już w dwa lata później Georges Méliès wykonał, nieświadomie zresztą, pierwsze w historii kinematografii ujęcie trickowe. Właśnie trick (angielskie słowo oznaczające sztuczkę, podstęp), jako najbardziej zagadkowe i zaskakujące zjawisko w sztuce filmowej, weźmiemy dziś na nasz tropicielski warsztat.

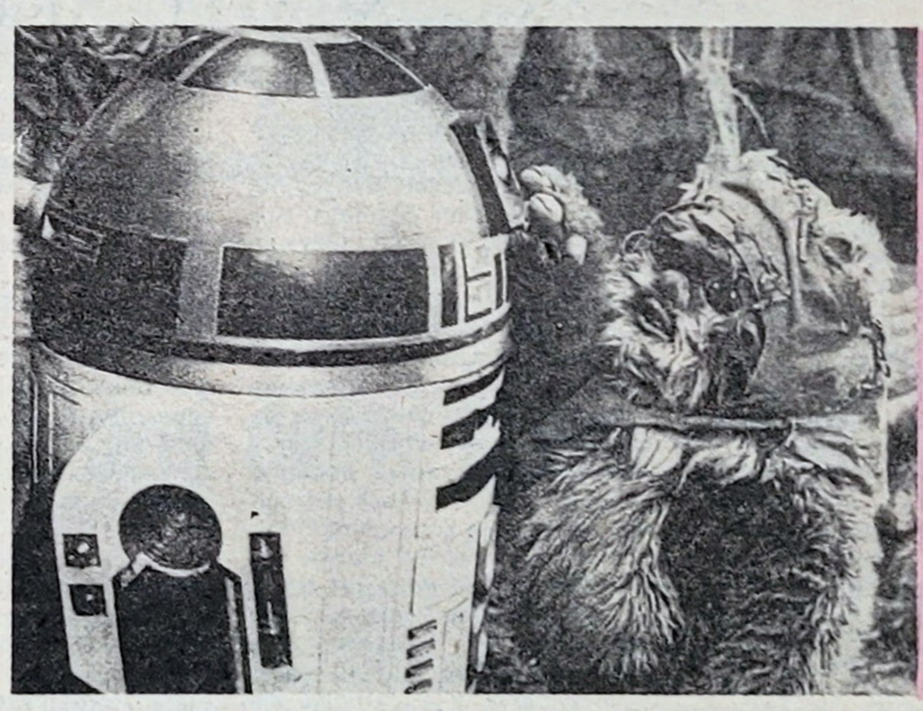

„Scenarzysta nie powinien niczym ograniczać swojej fantazji. Od tego jesteśmy my, technicy ukryci za ekranem, żeby każdy pomysł doczekał się spełnienia. Słowo „niemożliwe" nie istnieje dla kogoś, kto zna prawa hydrauliki, elektroniki, kto potrafi konstruować i lubi bawić się fotografią."

Danny Lee – mistrz efektów specjalnych.

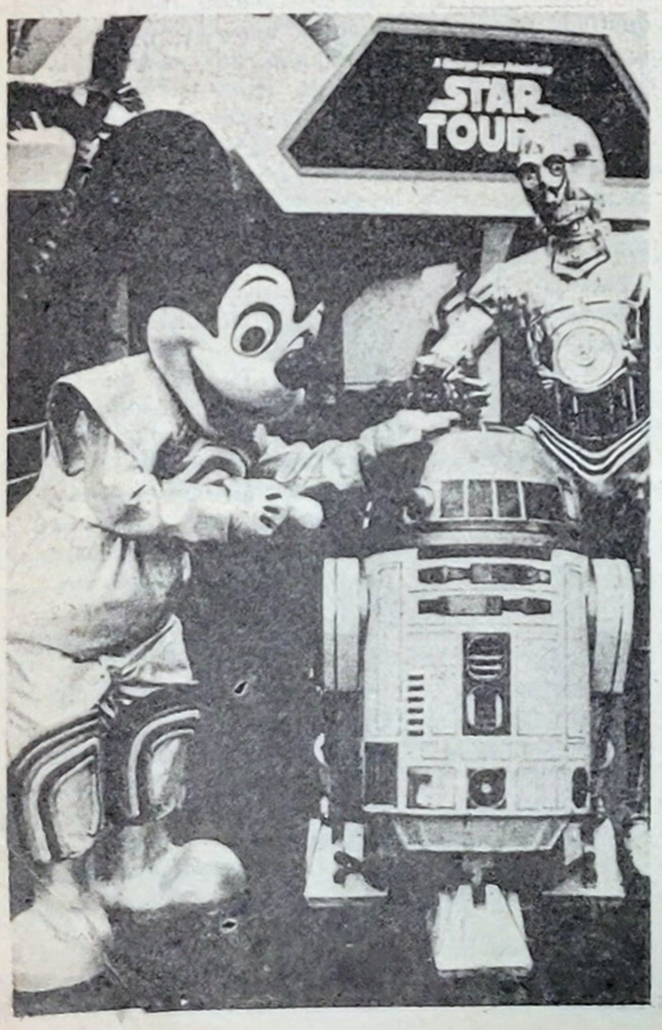

Méliès uczy się czarów

Pewnego słonecznego dnia ustawił swoją kamerę w najruchliwszym punkcie Paryża – na placu Opery, by utrwalić na taśmie życie ulicy. Projekcja uzyskanych obrazów dla niego samego stała się wielkim zaskoczeniem. Filmował omnibus konny wypełniony pasażerami, tymczasem ni z tego, ni z owego przemienił się on na ekranie w... karawan. Méliès szybko odgadł, jak do tego musiało dojść. Nie zauważył, że aparat zaciął się na kilka sekund. W tym czasie omnibus przejechał, a na jego miejsce wtoczył się wóz pogrzebowy. Gdy aparat ruszył – utrwalił go po prostu na kolejnej klatce, co dało efekt zaskakujący i zabawny. Ot – cała tajemnica „cudownej" przemiany. I to były właśnie narodziny filmowego tricku. Méliès szybko pojął, że takie atrakcje wzmagają zaciekawienie widzów. Od tej pory stosował chwyt z zatrzymaniem taśmy świadomie. Problem „znikania i pojawiania się" przestał w filmie istnieć. Rzecz jasna, dalszą konsekwencją tego przypadku stały się inne eksperymenty z taśmą – jej szybsze i wolniejsze przesuwanie, a także cofanie. Dzięki temu można było na ekranie pokazywać nie tylko spadanie przedmiotu w dół, ale jego „tajemnicze" wzlatywanie, można było sfilmować jak dzbanek się tłucze i już za chwilę, jak zrasta się ze skorup...

ABC FILMOWYCH NIESPODZIANEK

Czy pamiętacie „Kingsajz" Juliusza Machulskiego? By sfilmować świat, gdzie krasnoludki występują obok normalnych ludzi, wystarczy wykorzystać zwykłą właściwość ludzkiego oka: to co bliskie wydaje się większe, co jest dalej – mniejsze. „Oko" obiektywu widzi przecież na podobnej zasadzie. To złudzenie łatwo wzmocnić budując w tle jakąś gigantyczną dekorację, jak w tym przypadku – schody, szuflady segregatorów czy krzesło.

Znacznie częściej jednak buduje się na potrzeby sekwencji trickowych niewielkie rekwizyty, a makiety i modele – ruchome i nieruchome, różnych rozmiarów. W budzącym grozę dreszczowcu Stevena Spielberga „Szczęki" oczywiście nie grał żaden prawdziwy rekin. Wykorzystano aż trzy modele groźnego potwora. Jeden filmowano tylko z prawej strony, bo z drugiej ukryta była skomplikowana maszyneria elektroniczna, drugi – z lewej, a do zdjęć frontalnych służył model całościowy, poruszany hydrauliczną dźwignią.

Bez modeli częściowych nie nakręcono by dziesiątków baśni, w których występują trójgłowe smoki o paszczach miotających płomienie („Willow"), czy choćby filmów o gigantycznej małpie King-Kongu. Specjalnie dla sceny, gdy łapa potwora chwyta bohaterkę filmu, Carlo Rambaldi (autor m.in. marionety ET) skonstruował „żyjącą" – 13,7-metrową dłoń! Takie zbliżenie po prostu każe wierzyć w autentyczność sceny!

Obrazy totalnych zniszczeń w filmach na produkcyjnym planie wyglądają zgoła mniej groźnie. To płoną, walą się i są zatapiane strumieniami wody miniaturowe modele. W basenach, na sztucznie wywołanych falach, toczą się bitwy morskie okrętów – zdalnie sterowanych zabawek. Te tricki są wymyślone po to, by obniżyć koszty produkcji filmu. Dzięki znajomości praw perspektywy można też w jednym ujęciu łączyć makietę z dekoracją naturalnej wielkości i aktorami. Taniej jest, miast budować naturalnych rozmiarów bramę zamczyska, wykonać tzw. **domakietkę**, i filmować przez nią wjeżdżających na podwórzec warowni rycerzy.

Banalnie proste wydaje się sprowadzanie właściwej pogody na plan zdjęciowy. Dymy tworzone przez pirotechników dają mgłę, do wywołania deszczu wystarczy strażacka sikawka. Ale to by nie wystarczyło. By uzyskać wrażenie groźnej, pełnej błyskawic burzy potrzeba czegoś więcej. Taśmę z nakręconą już sceną poddaje się więc specjalnej obróbce na stole trickowym. Pewne jej części trzeba sztucznie zaciemnić, inne rozjaśnić. A do tego oczywiście nagrać odpowiedni dźwięk. Każda wytwórnia dysponuje biblioteką dźwiękowych efektów specjalnych, zwaną po prostu **fonoteką**.

Sztuczki fotograficzne też należą do ABC trickowego kunsztu. Już w najstarszych filmach stosowana była **podwójna**

Za rok chcemy tu powrócić

Na zdjęciach:

1. *W Słowińskim Skansenie*

2. *Na końskim grzbiecie nie każdy jeszcze siedział*

3. *W drodze na „Neptunalia"*

4. *Gdy świeciło słońce, pławiliśmy się w wodzie*

5. *Jazda bryczką na gumach zadowalała najbardziej wygodnickich*

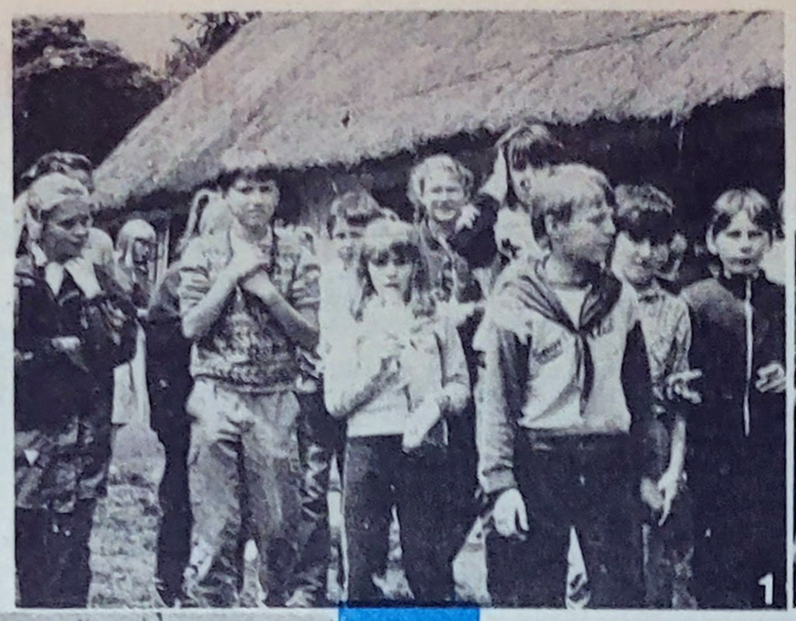

REPORTER Świata Młodych

Byłam na wielu obozach harcerskich i koloniach. W Murzasichlu pod Zakopanem straciłam nieco sympatii do górali za ich sposób bycia wobec nas i skąpe warunki zakwaterowania. O żywieniu i ortografii w jadłospisie lepiej nie pisać, herbata występowała pod „ch".

Na „Interkampie" w Łebie obóz zlokalizowany był w namiotach. Przeważały dziewczęta, których sympatie dojeżdżały prywatnie z namiotami. Stawiali je tuż za sznurem oddzielających nasz obóz od reszty wypoczywających na campingu. Było więc picie alkoholu, ciągłe, nocne wrzawy, używanie wulgarnych słów i przekleństw.

'Odwrotnością wakacji w Murzasichlu i na „Intercampie" okazała się kolonia Tarnobrzeskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego zlokalizowana w Nowęcinie koło Łeby, skąd niedawno powróciłam. Było nas 49 dziewcząt i chłopców w wieku szkoły podstawowej. Większość stanowili członkowie ZHP, stąd też łączyły nas harcerskie piosenki, zabawy, ogniska. Byliśmy zakwaterowani w nowoczesnych, wygodnych domkach campingowych typu „Brda" z łazienką (ciepła woda i wc). Kierownictwo kolonii od początku „postawiło" na samorząd, któremu przewodniczyli: Beata Wrona i Grzegorz Duma, a ja sekretarzowałam. Młode wychowawczynie: Dorota i Urszula Kaproń z Janowa Lubelskiego nie szczędziły sił, by umilać nam czas, gdy nie było słońca i plażowania. Współpraca między nami a kadrą układała się wspaniale. Organizowaliśmy różne imprezy jak: „Neptunalia", „Sport na wesoło" czy konkurs na najbardziej oryginalny strój oraz festiwal piosenki.

Na plażę do Łeby mieliśmy 2 km, gdy więc świeciło słońce (a tak było tylko przez kilka dni!) szliśmy na przełaj lub odwoziła nas „Nysa" kierowana przez sympatycznego kierowcę TPBP Mariana Jędrycha, który przez cały turnus spełniał rolę kolonijnego „dorożkarza". Mieliśmy również autokar z tarnobrzeskiej „przemysłówki"(po dowiezieniu nas na kolonię zatrzymał się tam na kilka dni); wyjeżdżaliśmy nim na wycieczki poznając Westerplatte, zabytki Gdańska, Gdyni, Słupska, Lęborka. Zwiedziliśmy też słynne wydmy w Łebie i skansen słowiński w Klukach. Stamtąd maszerowaliśmy szlakiem do punktu widokowego na jezioro Łebsko.

Odwiedził nas naczelnik miasta Łeby opowiadając ciekawe historie powstania miasta zwanego kiedyś „Syberią III Rzeszy". Dowiedzieliśmy się, że Łeba licząca niecałe 4 tys. stałych mieszkańców w sezonie gości nawet do 60 tys. osób. Wysłuchaliśmy ciekawostek o Słowińskim Parku Narodowym i tutejszej zwierzynie.

Największą jednak atrakcją były wizyty w Stadninie Koni PGR Charbrowo. Właściwie tutejszą Stajnię Rekreacyjną, bo tak się oficjalnie nazywa, mieliśmy tuż za naszym obozowiskiem. Jej szef, Mirosław Rosiński, sprawił nam wielką atrakcję, bowiem jeździliśmy na koniach i kucykach, a nawet bryczką. Ceny takich przyjemności są dość wysokie. Jedna godzina na grzbiecie rumaka rasy Wielkopolskiej kosztuje 1500 zł, a za taki sam czas jazdy bryczką płaci się aż 5 tysięcy złotych. Ale nasz sponsor – TPBP z Tarnobrzega pieniędzy na takie przyjemności nie pożałował.

Weseli, wypoczęci i zdrowi powróciliśmy do domów z dużymi spisami adresów. Będziemy korespondować ze sobą i umawiać się, by w roku przyszłym znów przybyć do Nowęcina nad jezioro Sarbsko na kolonię, bowiem przedsiębiorstwo postanowiło dotychczasowe wczasowisko dla dorosłych zamienić na stolicę wypoczynku dzieci i młodzieży.

W imieniu samorządu kolonii dziękujemy jej organizatorom – Irenie Olszaneckiej – zastępcy dyr. TPBP oraz paniom Grażynie Galek i Danucie Borys.

Dorota Szlęzak
(członek Ligi R[illegible]rterów)
Ta[illegible]obrzeg
Zdjęcia: **[illegible]. kolonii**
i D. Szlęzak

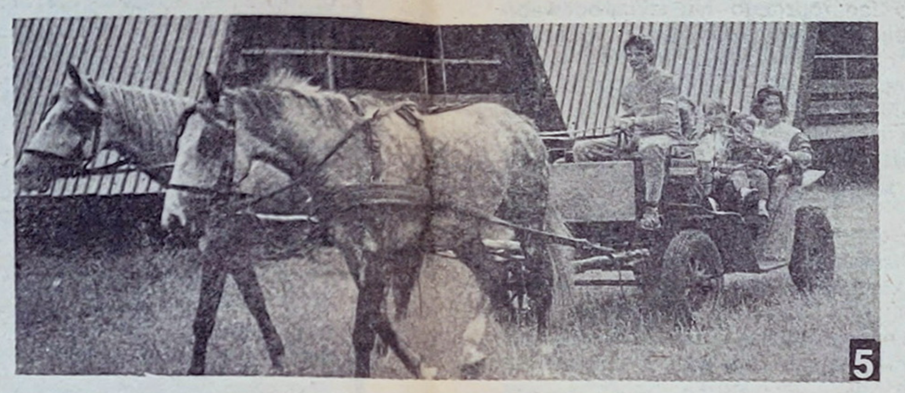

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

TRICK NOWEJ GENERACJI

ekspozycja, tylna projekcja, a takze **technika wędrującej maski**. Ta pierwsza – to po prostu zdjęcia nakładane na siebie na tym samym negatywie. Każdy, kto fotografuje, łatwo zrozumie istotę tego zjawiska. To tak, jakby zapomnieć o przesunięciu kliszy w aparacie po zrobieniu zdjęcia – tyle że w filmie to zabieg świadomy. W drugim wypadku aktora ustawia się na tle ekranu, na którym od tyłu wyświetlany jest np. obraz ulicy. Daje to efekt żywej dekoracji. Dziś właściwie nie stosuje się już tej techniki. Była przydatna, gdy używano niedoskonałych mikrofonów, które nie pozwalały na robienie ujęć w scenerii naturalnej.

Technika wędrującej maski wymaga przesłonięcia części klatki filmowego negatywu, by można było później wkopiować na to miejsce inny obraz. Często obserwujemy ten chwyt na ekranie, gdy np. dwie osoby rozmawiają przez telefon i pokazywane są równocześnie w różnych miejscach. W ten sposób jeden aktor może też np. konwersować ze swoim własnym sobowtórem.

Większość technik trickowych znano już w początkach naszego stulecia. Szczytem, a zarazem granicą możliwości tradycyjnej animacji był film Stanleya Kubricka z 1968 r. „2001: Odyseja kosmiczna". Został uznany za najwybitniejsze dzieło w dziejach fantastyki filmowej. Ale robiąca największe wrażenie w tym filmie wizja podróży przez atmosferę Jowisza powstała dzięki temu, że zdjęcia z amerykańskiej sondy kosmicznej „Voyager" poddano obróbce w pamięci największego dziś na świecie komputera Cray-X-PM, który nałożył barwne fotografie Jowisza na obraz tropikalnego cyklonu, sfilmowanego przez satelity komunikacyjne. Człowiekiem, który uczynił regułę z korzystania z elektroniki dla potrzeb efektów specjalnych w filmach, okazał się jednak Georges Lucas. W „Odysei..." Kubrick zastosował 35 trickowych ujęć. Lucas w „Gwiezdnych wojnach", które powstawały w tym samym czasie, aż 122, a w „Imperium kontratakuje" już 722!

Dzięki Lucasowi zastosowano np. skomplikowaną kamerę z urządzeniem pamięciowym, którą bez zmiany toru wózka można sfilmować obiekt pod każdym kątem. Dzięki temu iluzja ruchu jest doskonała. Stosowane są teraz w filmie elektroniczne zapisy obrazu, elektroniczny montaż, a nawet „kompozycyjna" współpraca komputerów. Dotyczy to technik realizacyjnych, a konsekwencje estetyczne tego są coraz bardziej widoczne. Komputery najnowszych generacji potrafią kreować światy całkowicie nowe, w których obowiązują inne prawa fizyczne niż nasze, warunki, w których normalnie nie potrafilibyśmy się znaleźć. Doskonałym przykładem takiego filmu jest „Ciemny kryształ" Franka Oza i Jima Hensona, wyświetlony niedawno przez naszą telewizję, wraz z równie ciekawym filmem dokumentalnym o jego produkcji. Także film „TRON" Stevena Lisbergera, którego akcja dzieje się we wnętrzu komputera. Dzięki elektronicznemu mikserowi trickowemu można np. połączyć akcję na pierwszym planie z dowolnym tłem, zdeformować ten obraz geometrycznie, całkowicie go odrealnić... Takich efektów nie da się osiągnąć za pomocą innej techniki!

Ale nie zostało jeszcze powiedziane ostatnie słowo w dziedzinie filmowej iluzji. Sensacją stał się np. wynalazek Douglasa Trumbulla, który może zrewolucjonizować jeszcze bardziej współczesne kino. Chodzi o sposób realizacji i wyświetlania filmów systemu „Showscan", pozwalający na uzyskanie wrażenia niezwykłej głębi i trójwymiarowości obrazu. Nowość polega na zmianie szybkości przesuwu taśmy w kamerze i projektorze do 60 klatek na sekundę (z taką szybkością właśnie impulsy optyczne przenoszone są do mózgu). Przy takiej projekcji widz będzie miał wrażenie, że zanikają granice ekranu i że otwiera się przed nim nieskończona przestrzeń. Iluzja doskonała! Ale te sztuczki są bardzo drogie. Sekunda kręcenia z zastosowaniem komputerów kosztuje od 2,5 do 5 tysięcy dolarów. Twórcy w wielu krajach nie mogą więc nawet marzyć o takich możliwościach...

WARTO PRZECZYTAĆ

- „Gwiezdne Imperia X Muzy" Bolesław Hołdys, Kraków 1985 r.
- „Spojrzenie za ekran" Andrzej Kołodyński, MAW 1987 r.
- „O dziwach, czarach i upiorach ekranu" Stefania Beylin, W-wa 1957 r.
- „Kino dla wszystkich" Krzysztof Teodor Toeplitz, W-wa 1964 r.

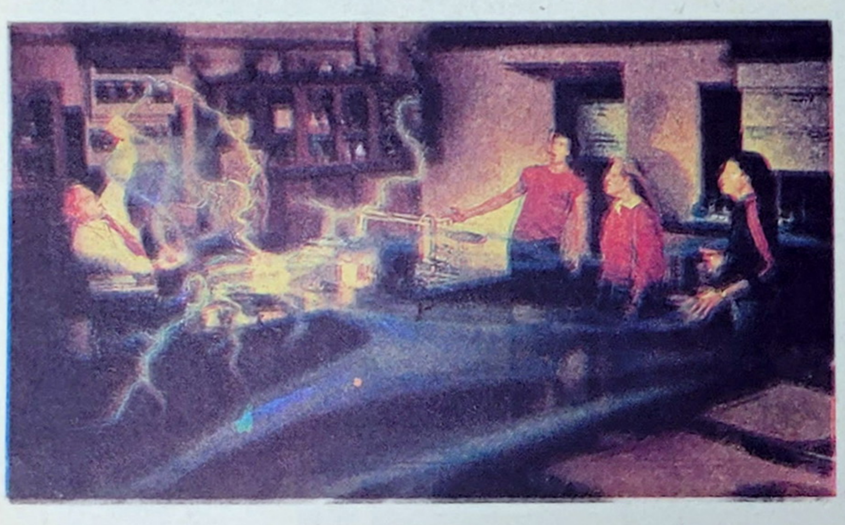

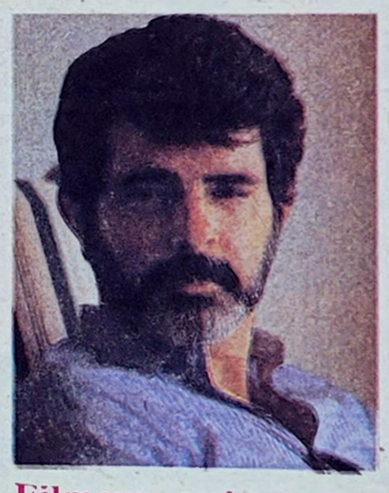

Filmowe cuda pod jednym dachem

Lucas założył firmę Industrial Light and Magic, która zajmuje się przygotowaniem specjalnych tricków i efektów technicznych dla kręconych dziś filmów. Zatrudnia najlepszych fachowców – inżynierów, techników, naukowców nawet, a także plastyków. Wykorzystują oni najnowsze osiągnięcia wiedzy, dysponują najnowocześniejszymi materiałami, dzięki którym można „ucieleśniać" marzenia. Podobno dla tych ludzi absolutnie wszystko jest możliwe. Ale to świat tajemnic niedostępny dla zwykłych śmiertelników. Dopiero efekty podziwiamy na ekranie i nabieramy ochoty, by dowiedzieć się, jak do nich doszli.

Jest takie miejsce, w którym można zajrzeć za kulisy ekranów. To Muzeum Ruchomych Obrazów w Londynie zwane MOMI (Museum of the Moving Image). Na pomysł jego stworzenia wpadł 20 lat temu Leslie Hardcastle – dyrektor Brytyjskiego Instytutu Filmowego. Do realizacji projektu przystąpił przed 10 laty. Dziś MOMI wciśnięte pod ruchliwy most Waterloo w sercu Londynu stanowi najciekawsze i chyba najchętniej odwiedzane muzeum na świecie.

Na przestrzeni 3 tysięcy metrów kwadratowych znajdują się eksponaty niezwykłe. Wprowadzają nas chronologicznie, metodą podróży w czasie od końca XIX wieku po dzień dzisiejszy – w świat TAJEMNICY – świat kina. A w tych ekspozycjach nie ma nic statycznego. Tu wciąż się coś dzieje. Zwiedzający staje się uczestnikiem wydarzeń. Ze wszystkich stron atakują go wrażenia i... przewodnicy, którzy zmuszają go do działania. M.in. goście charakteryzują swe twarze, recytują, prowadzą dziennik telewizyjny posługując się czytnikiem, udzielają wywiadu i podziwiają sami siebie w nagraniu wideo. Oczywiście nie tylko sprawdza się tu, czy posiadamy zadatki na filmową gwiazdę, ale także wiele się możemy w tym miejscu nauczyć.

Tropicieli Tajemnic zainteresowałoby tu wszystko, a szczególnie kino o dziwnej, lecz jasnej w swej wymowie nazwie – „Obecny stan sztuki filmowej". To sala na 145 miejsc, wyposażona w cztery ekrany przystosowane do projekcji trójwymiarowej, tylnej, płaskiej i z systemem Dolby. Co wieczór wyświetlany jest tu inny film. Nie mogliby też ominąć działu wystaw okresowych, gdzie pokazywane są aktualności – wiosną tego roku np. modele robotów wykonanych przez Jima Hensona do filmów fantstycznych w rodzaju „Labiryntu" „Ciemnego kryształu". Tym espozycjom towarzyszą zawsze filmy wideo wyjaśniające, w jaki sposób roboty zostały wykonane i jakie są metody techniczne ich wyświdania – czyli, jakimi sposobami mogli posłużyć się twórcy, by doprowadzić do efektów widocznych na ekranie.

Urodziłem się by zostać aktorem

LONDYN (PAP). Zmarł sir Laurence Olivier, najwybitniejszy aktor angielski naszego stulecia, jeden z najwspanialszych artystów światowego teatru i filmu. Miał 82 lata. Mówił, że urodził się po to, aby zostać aktorem. W swej przeszło 60-letniej karierze artystycznej (debiutował w 1922 r. w „Poskromieniu złośnicy" Szekspira) zagrał 121 ról teatralnych, 58 filmowych i kilkanaście telewizyjnych. Zasłynął przede wszystkim jako odtwórca postaci szekspirowskich – Hamleta, Ryszarda III, króla Lira. W uznaniu zasług, w 1947 r. otrzymał angielski tytuł szlachecki, a w 1970 r. – godność para Anglii.

Już w pełni sławy i zaszczytów stwierdził kiedyś: *„nie lubię grać, ale nie mogę też żyć bez tego"*. Grał w różnym repertuarze, występował m.in. w sztukach Shawa, Ibsena, Czechowa i Ionesco. Zachwyty krytyki i publiczności przyniosła mu rola Edypa w Tragedii Sofoklesa wystawiona w Old Vic Theatre, którego był dyrektorem, role Malvolia w „Wieczorze trzech króli", Makbeta, Tytusa Andronikusa w spektaklach wyreżyserowanych przez Petera Brooka w Stratfordzie nad Avonem. W tym ostatnim spektaklu dał się poznać publiczności Włoch, Jugosławii i Polski. Do jego najpopularniejszych ról filmowych, obok postaci szekspirowskich, należał admirał Nelson. Laurence Olivier nie gardził też komedią: wystąpił obok Marylin Monroe w filmie „Książę i aktoreczka". Gdy choroba uniemożliwiła mu występy w teatrze i na ekranie, prawie do końca życia brał udział w słuchowiskach radiowych i spektaklach telewizyjnych.

Niedawno ukazały się w Polsce, nakładem PIW, jego wspomnienia zatytułowane „Wyznania aktora".

ROBERT MITCHUM
– gwiazda starej daty, która wciąż lśni

Wakacje dobiegły końca, pora więc i naszej rubryce powrócić z urlopu spędzonego na wpół muzycznych torach. Dziś znów o „Wichrach wojny" – amerykańskim serialu, którego kolejne części nasza telewizja przecież zakupiła. W tych odcinkach nie będzie już występowała Ali MacGraw i Jan-Michael Vincent, których zdążyliśmy Wam przedstawić, ale pozostał komandor Henry, największy gwiazdor tego filmu – Robert Mitchum.

Przypominamy, że serial „Wichry wojny" został nakręcony nakładem olbrzymich środków (65 mln dolarów) na podstawie książki Hermana Wouka pod tym samym tytułem i zrobił na świecie ogromną karierę. Dalszy ciąg losów rodziny „Puga" – Henry'ego – to ekranizacja powieści „War and remembrance" („Wojna i pamięć").

Robert Mitchum urodził się 6 sierpnia 1917 r. w Bridgeport w stanie Connecticut. Miał burzliwe i krótkie dzieciństwo. Wychowywał się bez ojca (zmarł on, gdy Robert miał 2 lata), a kiedy matka ponownie wyszła za mąż, ten niepokorny 14-latek zwiał z domu i rozpoczął samodzielne, ciężkie zresztą życie. Niewiele jest zawodów, których by się nie imał. Wysoki i silny zaczął zarabiać jako tragarz w porcie, pomywacz, a także... przemytnik alkoholu. Oczywiście ten sposób zarobkowania „zapewnił" mu wikt i opierunek w więzieniu – na szczęście na krótko – był przecież niepełnoletni. Parę tygodni spędzonych za kratkami podziałało jednak na niego wychowawczo. Po wyjściu wziął się do uczciwej pracy – był górnikiem, a potem ślusarzem. Ciągle jednak szukał czegoś nowego. Był niespokojnym duchem. Spróbował zarabiać na życie zawodowym boksem, ale szybko stwierdził, że nie lubi być bity. Trochę bardziej bawiło go wykonywanie w knajpach skeczów kabaretowych i udział w przedstawieniach dla dzieci. Widać budził się w nim aktor...

Gdy ukończył 23 lata, ożenił się z Doroty Spencet i postanowił się ustatkować. Rozpoczął pracę w zakładach lotniczych Lockheda. Prócz tego „dorabiał" statystowaniem w filmach. I to zajęcie pochłaniało go coraz bardziej. Wkrótce zaczął otrzymywać prawdziwe role – drugorzędne wprawdzie, ale jednak...

Za datę filmowego debiutu Mitchuma przyjmuje się rok 1943 – był to zresztą najpracowitszy rok w jego filmowej karierze. Wystąpił wtedy aż w 18 obrazach.

Szczęście aktorskie przyniósł mu wojskowy mundur. Włożył go po raz pierwszy w 1945 r. Za wspaniałą kreację porucznika Walkera w wojennym filmie Wiliama Wellmana „Żołnierze" został nominowany do Oscara. Od tej chwili ciekawe role przestały być rzadkością w jego repertuarze. Przez blisko pół wieku Mitchum zdołał zagrać prawie w 150 filmach. Trudno je tu wymieniać. Rozpiętość talentu tego aktora była ogromna – grał w filmach wszelkich gatunków – od westernu poczynając (to jego ulubione filmy) a na komedii muzycznej kończąc. Koniecznie jednak trzeba pamiętać, że grał w 1954 r. z Marilyn Monroe w „Rzece bez powrotu" Otto Premingera, w „Nocy myśliwego" Charlesa Laughtona (1955), w „Przybysze o zmierzchu" Freda Zinnemanna (1960), w „El Dorado" Howarda Hawksa (1967) w „Dwoje na huśtawce" Roberta Wise'a, „Bitwie o Midway" Jacka Smighta (1975) i „Yakuza" Sidneya Pollacka.

W latach osiemdziesiątych coraz rzadziej stawał przed filmową kamerą (w 1982 r. zagrał w „Kochankowie Marii" Andrieja Konczałowskiego). Czy pragnął się oszczędzać? Poświęcenie, z jakim pracował na planie „Wichrów wojny", przeczy temu. Serial powstawał przez kilka lat, a sam Mitchum pracował w nim intensywnie aż przez 13 miesięcy i to często w trudnych warunkach. W czasie realizacji zdjęć przy trzaskającym mrozie w Jugosławii leciwy przecież pan zaziębił się i dostał ciężkiego, zagrażającego życiu zapalenia płuc.

Robert Mitchum do dziś zachował zniewalający wdzięk, pogodę ducha i... temperament. Podobno na konferencji prasowej, zorganizowanej przed wprowadzeniem „Wichrów wojny" na telewizyjne ekrany, znokautował prowadzącego ją dziennikarza; jak za dawnych dobrych lat, gdy prasa kipiała od informacji o jego skandalicznych wyczynach. Ale też, co nie zdarza się w hollywoodzkim światku często, jest ciągle z tą samą żoną, którą poślubił w 1940 roku. Trójka dzieci z tego małżeństwa: 49-letni James, 47-letni Christopher i 37-letnia Petrina zawodowo związali się z przemysłem filmowym.

EWA BIELSKA
Fot. **archiwum**

WYCIECZKA NA ROWEROWEJ RAMIE

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

lono nam przenocować na sianie czy słomie na stryszku. Coś mnie gryzło i mimo dużego zmęczenia nie mogłam usnąć. Gwałtowne dobijanie się do chaty przerwało nocną ciszę. Gospodarz długo nie reagował, a chałupa aż się trzęsła od łomotania. Zaczęło głośno płakać malutkie dziecko i wreszcie zdecydował się otworzyć drzwi. Dobijający się mężczyzna kazał zaprzęgać konia do wozu. Nie prosił, lecz rozkazywał, żądał, Chłop dopytywał się, dokąd to ma jechać, kiedy szkapa chora, a jakby nie była chora, to i tak żony z dzieckiem samej nie zostawi...

Nie pamiętam, jak się ta awantura zakończyła, może nawet w jej trakcie usnęłam? Majaczyły mi się dwie nazwy miejscowości: Tarnopol i Zaleszczyki, bo tam się kazał wieźć ten władczy mężczyzna. Podczas ubiegłorocznych wakacji ciocia Hela była tam nad Dniestrem w Zaleszczykach ze swoim mężem i młodszym ode mnie Waldkiem. Było to znane uzdrowisko z pięknymi plażami. Dostaliśmy nawet zdjęcia znad Dniestru, zazdrościłam Waldkowi. Ja wakacje spędzałam nad Zielawą: małą i niepozorną rzeczką w Łomazach. Dziwiłam się, dlaczego teraz, kiedy jest któryś tam września i trwa wojna, ludzie wybierają się do Zaleszczyk.... „Niedaleko jest granica. Rumuńska granica" – tłumaczył mi Tatuś; był bardzo przygnębiony.

Dopiero potem zaleszczycka szosa – nie zawsze słusznie – stała się synonimem desperackiej ucieczki, rozpoczętej już w pierwszych dniach wojny. Ewakuowały się z Warszawy naczelne władze państwowe – najpierw do Lublina i Brześcia, a potem przez granicę sojuszniczej Rumunii. Pierwsi uciekali tchórze gnani strachem o własną skórę, nieco później urzędnicy wykonujący służbowe polecenie. Może więc ten wrzeszczący po nocy mężczyzna wykonywał czyjś rozkaz?

W drodze musieliśmy być trzy dni, gdyż pamiętam drugi nocleg w zamożnej wiosce, gdzie spaliśmy na prawdziwym łóżku. Do krewnych dojechaliśmy cali. Następny dzień przesiedziałam przycupnięta w schronie. Niemcy bombardowali niedaleką linię kolejową. Był straszny huk.

Bardzo płakałam, gdy Tatuś powierzywszy mnie i mój „posag" opiece kuzynów wyruszał w drogę powrotną, ciągle sądząc, że będzie potrzebny, że zostanie wezwany do wojska... Przykazywał mi na ucho, bym nie robiła kłopotu i była rozsądną „dużą dziewczynką".

W parę dni później radio Warszawa nadało wiadomość, że „wojska sowieckie przekroczyły wschodnie granice Polski". A więc kolejny rozbiór? Bardzo prędko przyszli Rosjanie, ale po jakimś czasie uzgodniwszy granice z Niemcami wycofali się za Bug. Samoloty nie miały już co bombardować, wojska niemieckie objęły opuszczone przez czerwonoarmistów nadburzańskie ziemie. Jeszcze broniła się Warszawa, Hel...

Od Tatusia długo nie miałam żadnych wiadomości i właściwie już wtedy skończyło się moje dzieciństwo.

ANNA MORAWSKA

Pikujące z góry samoloty hitlerowskich barbarzyńców urządzały polowania na bezbronną ludność

Fot. **arch.**

„Zawisza Czarny" w rejsie dookoła świata

Harcerski żaglowiec s/y „Zawisza Czarny" kontynuuje swój rejs dookoła świata. 6 sierpnia jacht zawinął do japońskiego portu Hiroszima, w niedzielę załoga wzięła udział w uroczystościach upamiętniających tragedię wybuchu amerykańskiej bomby atomowej w tym mieście u schyłku II wojny światowej.

W IV etapie rejsu, który prowadzi z koreańskiego portu Nampho do Władywostoku, bierze udział kolejna grupa dziewcząt i chłopców w harcerskich mundurach. „Zawisza Czarny" wyruszywszy z KRLD po zakończeniu XIII Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów przemierzył wody Morza Żółtego i odwiedził chiński port Tjanjin.

„Zawisza" zawinie pod koniec sierpnia do Władywostoku. Tu nastąpi uzupełnienie zapasów i wymiana załogi przed następnym etapem rejsu, przez Pacyfik do wybrzeży amerykańskich.

Rękawiczki Marylin...

NOWY JORK (PAP). Na aukcjach organizowanych przez renomowane firmy można dziś kupić wszystko, nie tylko dzieła sztuki.

Dom aukcyjny „Christie" w Nowym Jorku wystawił na sprzedaż limuzynę Bentley, rocznik 56, której używali członkowie zespołu „The Beatles" podczas swoich tournée. Cena wywoławcza 300 tys. dolarów okazała się jednak za wysoka. Bentley „poszedł" w drugiej licytacji za jedyne 210 tys. dolarów.

Na tej samej aukcji za 232 tys. sprzedany został 90-stronicowy oryginalny scenariusz Orsona Wellesa do filmu „Obywatel Kane", filmu powszechnie uważanego za arcydzieło.

Wciąż żywa jest także pamięć o Marylin Monroe. Jej rękawiczki osiągnęły cenę 1250 dol., a kostium, w którym występowała w filmie „Przystanek autobusowy", został kupiony za 20 900 dolarów. Niższe ceny uzyskała laska Groucho Marxa oraz prawo jazdy Humphreya Bogarta: pamiątka po wielkim komiku sprzedana została za 1870 dolarów, a prawo jazdy bohatera „Casablanki" wyceniono na 2420.

LIDERZY SZKOLNEGO BOISKA

ŁOWCA PUCHARÓW

(Inf. wł.) 176 cm w skoku wzwyż, 7,6 sek. w biegu na 60 m i 2:[illegible],00 min. na dystansie 800 m oraz 70,28 m w rzucie piłeczką – oto wyniki Marka Pomiotły (na zdjęciu) uzyskane podczas tegorocznego międzynarodowego czwórboju w Bukareszcie. Wzorowy uczeń szkoły nr 3 w Dębnie Lubuskim zdobył w stolicy Rumunii 397 pkt. i zajął pierwsze miejsce w klasyfikacji indywidualnej imprezy. Jego drużyna również wywalczyła złoty medal – 1735 pkt. Marek „po drodze" ustanowił rekord szkoły w skoku i otrzymał dwa puchary za poszczególne konkurencje. W dotychczasowej historii polskiego czwórboju nie mieliśmy tak rewelacyjnego zawodnika.

Z lekkoatletyką zetknął się już w klasie czwartej. Pan Krzysztof Rosadziński dostrzegł chyba ogromny talent Marka i bardzo umiejętnie wtajemniczał go w trudną sztukę biegania, miotania piłeczką i pokonywania poprzeczki. Z roku na rok jego podopieczny czynił coraz większe postępy i... coraz więcej pracował. Po dwóch latach był więc liderem szkolnego zespołu, a po trzech międzynarodowym mistrzem czwórboju.

Nie chce zerwać ze sportem. Marzy o sukcesach i konsekwentnie dąży do jeszcze znakomitszych rezultatów. Natura obdarzyła go wspaniałymi warunkami fizycznymi. Mocny organizm i – co ważniejsze – mocny charakter są gwarancją, że Marek Pomiotło cel osiągnie. **(zp)**

Fot. **Z. Przybyłowski**

Krzysztof Gutorski

WIZYTA W INDIAŃSKIM NIEBIE

5

– Seniores, jak to dobrze, że jesteście! Nie wiedziałem gdzie was szukać!

– Hm, rzeczywiście, rozstaliśmy się nieco niespodziewanie, ale u posła Umańskiego zaszły nieprzewidziane, hm – jakby to powiedzieć – wydarzenia...

George wyraźnie był zmieszany i nie wiedział co powiedzieć.

– Przychodzę tu często, bo kiedyś pracowałem przecież w fabryce cygar, jak to pewnie seniores wiedzą... Ale teraz wyjdźmy stąd, dobrze?

Carmen wsunęła dłonie w długich koronkowych rękawiczkach pod ramiona obu kosmonautów i we trójkę wyszli na ulicę. Była pusta, nic się nie zmieniło. Poszli wzdłuż budynku. Po drugiej stronie ulicy wznosił się nowoczesny gmach fabryczny, oszklony, kolorowy. Dobiegał głos pracujących maszyn, szumiały wentylatory.

– Co to za fabryka, seniorita? – zapytał George.

– Nowoczesna, dwudziestowieczna fabryka papierosów. Powstała całkiem niedawno, a pracują w niej specjaliści z całego świata: z Nowego Jorku, Krakowa, Kijowa, Radomia... O, właśnie, z tego miasta pochodziła moja przyjaciółka, która dostała się do działu przygotowania surowców i nawet była dyrektorem technicznym...

– Była? A co się z nią stało później?

– Ach, seniores! Tragedia! Wyrzucono ją z nieba bez prawa powrotu...

– Najpierw chciała stale coś ulepszać. To nic groźnego, wygryziono ją normalnie ze stanowiska. Ale zrobiła coś gorszego! Wpadł jej w ręce raport Terry'ego.

– Tu, w niebie?

– Tak, seniores, i tu znajdują się przemytnicy... Otóż pod wpływem tej wywrotnej lektury dziewczyna chciała przekształcić fabrykę papierosów w chemiczną wytwórnię leków, pochodnych nikotyny. Jest takich lekarstw podobno sporo, ale sami powiedzcie, po co ludzi leczyć, kiedy robimy wszystko w odwrotnym kierunku? Tytoń truje powoli, ale jak przyjemnie!

George poczuł się niewyraźnie. Piękna Carmen powinna być dobra, myślał, a tu opowiada takie rzeczy! Żeby więc nie dać pognębić się do reszty, zapytał o fabrykę, wzdłuż której szli już tak długo.

Carmen okazała się dobrym przewodnikiem, znała się na wszystkim. Widocznie często przebywała u swojej przyjaciółki jeszcze za czasów aktywności w fabryce, bo potrafiła objaśnić, co się działo za murem.

Pierwszy w toku produkcji jest dział przygotowania. Tytoń trzeba zwilżyć, odżyłować i rozlistkować. Potem różne rodzaje tytoniu, z różnych plantacji a nawet z różnych stron świata miesza się ze sobą według recepty, zależnie od gatunku papierosów, które mają powstać. To jednak nie wystarcza. Wymieszane liście polewa się specjalną mikstur̨ą aromatyzującą. Czego w niej nie ma! Nie, to nie składniki lubczyka ani eliksiru młodości. Mikstura zawiera cukier, kakao, różne ingrediencje smakowe i zapachowe, glicerynę. Jak to się wszystko dobrze wymieszá, cała mieszanka tytoniowa idzie pod nóż. Oczywiście, to się tylko tak mówi, bo przecież kroją maszyny i to tak szybko, że noży prawie nie widać. W każdym razie pokrojony tytoń suszy się na bębnach – no, na suszarkach przecież – do odpowiedniego stopnia wilgotności i dopiero teraz jest gotów surowiec na papierosy.

Co dalej? Z krajanki tytoniowej formuje się długi wałek, który na maszynie zostaje równo owinięty w cienką bibułkę. Noże tarczowe tną na krótkie odcinki i to są właśnie papierosy. Teraz tylko automaty zapakują je do pudełek. A papierosy z ustnikami? Seniores nie wiedzą? Zupełnie tak samo, tylko maszyna zawija krajankę w bibułkę, a po obu skrajnych stronach znajdują się wykonane wcześniej filtry. Teraz nóż tnie w połowie długości i dwa papierosy gotowe. Aha, Carmen przypomniała sobie, że trzeba się pochwalić. W niebiańskiej fabryce zainstalowano całkiem niedawno, pewno dziesięć lat temu, specjalne maszyny, które elektronicznie regulują grubość wałka krajanki tytoniowej, stopień jej ugniecenia, więc wytwarzają papierosy o wyjątkowo równomiernym wypełnieniu. Dwa tysiące sztuk na minutę! I ani jednego wśród nich „grzdyla"! A żeby papieros smakował jeszcze lepiej, żeby dymek był jeszcze subtelniejszy, dopasowuje się rodzaj bibułki do gatunku tytoniu...

Cdn.

SPORTOWCY, O KTÓRYCH SIĘ MÓWI

BŁYSKAWICA Z OHIO

Na Igrzyskach Olimpijskich w Meksyku (1968 rok) padło wiele fantastycznych rekordów w lekkiej atletyce. Szczególnie w biegach na 100, 200 i 400 metrów oraz w skoku w dal amerykańscy zawodnicy uzyskali rezultaty, które przetrwały wiele lat. Do ubiegłego roku utrzymywały się tylko dwa ostatnie. I wreszcie pojawił się zawodnik, który poprawił dwudziestoletni rekord Lee Evansa na dystansie jednego okrążenia bieżni. Był nim Harry Butch Reynolds, „Czarna Błyskawica" z Ohio. Dokonał tego, co się długo nie udawało całym zastępom doskonałych czterystumetrowców.

W szkole średniej Harry w ogóle nie interesował się lekką atletyką. Z ogromną pasją grał w koszykówkę, baseball, futbol, marzył o karierze zawodowca w lidze NBA. Na przeszkodzie stanęły jego warunki fizyczne. Przy wzroście 191 cm ważył tylko 70 kilogramów. Rywale byli po prostu silniejsi. Pod koniec nauki w gimnazjum wziął udział w zawodach lekkoatletycznych. Na 400 metrów uzyskuje czas 48,01 sek. Niezły, lecz na warunki amerykańskie nierewelacyjny. Dopiero zwycięstwo odniesione kilka miesięcy później w zawodach uniwersyteckich zwraca na niego uwagę fachowców. Dostaje się do grupy trenera Franka Zubowicza na Ohio State University, do którego przenosi się z uczelni w Eldorado. Czyni stałe postępy, jednak do światowych wyżyn jest jeszcze daleko...

Rok 1986 kończy Harry Reynolds z wynikiem 45,36 sek., który jednak plasuje go na 17 miejscu amerykańskiej listy czterystumetrowców. Trener Zubowicz postanawia wzmocnić wytrzymałość podopiecznego. Harry biega na 5 i 10 kilometrów, dużo ćwiczy ze sztangą, poprawia też szybkość startową. Efekty są widoczne już w sezonie halowym, podczas którego wyrównuje rekord świata na nietypowym dystansie 500 metrów. Sezon letni otwiera udziałem w dorocznych zawodach Jesse Owens Classic w Ohio. Tam z zupełnie nieznanego zawodnika Harry wyrasta na prawdziwą gwiazdę. Wygrywa imprezę we wspaniałym czasie 44,10 sek. Udziela mnóstwo wywiadów, jest na ustach wszystkich miłośników lekkiej atletyki. W nagrodę wyjeżdża na tournée po Europie. W Londynie potwierdza znakomitą formę, osiągając czas tylko o 5 setnych gorszy od rezultatu z Ohio. Od razu staje się niemal stuprocentowym faworytem zbliżających się mistrzostw świata w Rzymie.

„Wieczne miasto" nie jest jednak dla niego szczęśliwe. Niemal w przededniu zawodów przeziębia się, ma kłopoty z żołądkiem. Gdy eliminacje kończy na 3 – 4 miejscu, wszyscy myślą, że oszczędza siły przed finałem. On jednak wie, że na wiele go, niestety, nie stać. Zdobywa „tylko" brązowy medal, który w tych warunkach i tak można uznać za sukces. W kilku biegach po mistrzostwach udowadnia, że rzymska „wpadka" była niezależna od niego.

W wiosennych eliminacjach lekkoatletów amerykańskich do igrzysk olimpijskich w Seulu Harry uzyskuje jeden z najlepszych rezultatów w historii (43,93 sek), ustępujący rekordowi świata Lee Evansa tylko o siedem setnych sekundy. Wreszcie nadchodzi pamiętny dzień 17 sierpnia. Na mitingu Grand Prix w Zurychu spotyka się cała światowa czołówka „jednego okrążenia". Harry czuje się znakomicie. Pragnie wygrać, obojętnie w jakim czasie. Przez pierwsze 200 metrów bieg prowadzi znakomity Nigeryjczyk, wicemistrz świata – Innocent Egbunike. Jego międzyczas (20,9) wskazuje, że jest to tempo wróżące rekord świata. Reynolds, zmuszony do maksymalnego wysiłku, przyspiesza na ostatniej prostej i uzyskuje wynik, który wprawia w osłupienie cały stadion i kibiców przed telewizorami – 43,29 sek. Pobił dwudziestoletni rekord z Meksyku, nie o dwie, trzy czy pięć setnych, a o ponad pół sekundy! Na wyczerpującym, morderczym dystansie 400 metrów to wyczyn równy legendarnemu „skokowi w XXI wiek" Boba Beamona, który w Meksyku niemal przeskoczył całą piaskownicę. Warto dodać, że amerykański biegacz osiągnął rekordowy rezultat na nizinnym stadionie (410 m n.p.m.) , a jak wiadomo wysokogórskie warunki pomagają w uzyskiwaniu lepszych wyników.

I podobnie jak przed rokiem w Rzymie również na igrzyskach w Seulu Harry Butch Reynolds jest murowanym kandydatem do „złota". Tak szybko jak on przecież nikt nie biegał. W olimpijskim finale liczą się tylko trzej Amerykanie. Rekordzista świata oraz doświadczony Danny Everett (43,98 sek.) i niespełna dziewiętnastoletni sprinter, rekordzista juniorów – Steve Lewis. Harry biegnie spokojnie za Everettem, wierząc w swój piorunujący finisz. Nie widzi, że za jego plecami znakomite tempo podyktował młodziutki Lewis. Na ostatnią prostą ze zdecydowaną przewagą wbiega junior. Reynolds rozpoczyna szaleńczy pościg, niestety na wyprzedzenie rywala jest już za późno. Przegrywa o sześć setnych sekundy złoty medal i prestiż najlepszego czterystumetrowca. Jest wprawdzie wciąż rekordzistą świata, lecz każdy przecież sportowiec marzy o olimpijskim złocie...

Nie ma szczęścia reprezentant Ohio do wielkich imprez, ale i na mitingach i różnych zawodach jest wciąż niepokonany. Także rekordowy wynik z Zurichu wydaje się być poza zasięgiem rywali, nawet dla niezwykle utalentowanego mistrza olimpijskiego. Tegoroczny sezon zamierza Harry potraktować trochę ulgowo. Częściej biega na 200 metrów, pragnąc wyrobić sobie szybkość, gdyż wytrzymałość była od dawna jego mocną stroną. 400 metrów pobiegnie tylko kilkakrotnie, by sobie i kibicom udowodnić, że jednak on jest królem tego dystansu. Skończył dopiero 25 lat, a więc okazji do rewanżu na wielkich światowych imprezach na pewno mu nie zabraknie. W przyszłym roku zamierza przełamać kolejną granicę marzeń – pobiec 400 metrów poniżej 43 sekund. Jeszcze niedawno wydawało się to zwykłą fantazją, lecz dzięki Harremu Reynoldsowi może stać się realne.

ANDRZEJ BACZYŃSKI
Fot. **archiwum**

„Łaciaty" Akropol?!

ATENY (PAP). Po latach dysput i ścierania się różnych koncepcji, eksperci uczestniczący w Międzynarodowej Konferencji dotyczącej restauracji ateńskiego Akropolu wysunęli propozycje, które w niedługim czasie przedłożone zostaną greckiemu Ministerstwu Kultury.

Operacja ratowania Akropolu, zarazem najpoważniejsza w historii liczącego 25 stuleci zabytku, zainicjowana została w latach 70., jednak do tej pory nie zatwierdzono projektu konserwacji. Obecnie wysunięte propozycje zawierają dwa zasadnicze warianty, różniące się w głównych założeniach.

Operacja lansowana przez greckiego architekta Manolisa Korresa zakłada „program maximum" planowany na okres ok. 10 lat. Przewiduje on m.in. rozebranie ponad 1000 bloków marmurowych – wagi ponad 12 ton każdy – w celu usunięcia przeżartych rdzą klamer z żelaza, wmurowanych w ubiegłym stuleciu, powodujących stopniowe pękanie marmuru. Korres proponuje zastąpienie klamer prętami z niekorozyjnego tytanu w celu umocnienia budowli, a także umieszczenie na pierwotnym miejscu marmurowych płyt pokrywających wzgórze Akropolu.

Niektóre propozycje Korresa znalazły wprawdzie uznanie, jednak ogólna koncepcja projektu napotkała liczne sprzeciwy. Krytyka dotyczy nie tyle technik konserwacji, ile zamierzeń mających uwydatnić architektoniczne zmiany Akropolu w aspekcie kolejnych epok – rzymskiej, bizantyjskiej, frankońskiej i tureckiej.

Koncepcja Korresa wykracza daleko poza „czystą" konserwację doryckiej świątyni Ateny Partenos i dotyczy rekonstrukcji, która stanowi całkowicie różne pojęcie od konserwacji – oświadczył dyrektor Departamentu Konserwacji Zabytków w Ministerstwie Kultury, zagorzały oponent projektu – Iordanis Dimakopoulos. Uważa on, że zasadniczą sprawą jest zachowanie klasycznego wizerunku Partenonu, nie zaś usiłowanie poprawy estetycznych walorów słynnych ruin. Wielu innych krytyków podziela opinię Dimakopoulosa uważając, że interwencja proponowana przez Korresa pomniejszy wartość historyczną idei twórcy słynnego posągu Ateny – Fidiasza, w którego pracowni wykonano detale świątyń. Sprzeciwy dotyczą również stosowania nowych materiałów do konserwacji. Istnieją zwłaszcza obawy, dotyczące różnic kolorów marmurów. Wskazano w związku z tym na błędy popełnione przy konserwacji jońskiej świątyni Erechtejon, miejsca kultu Erechteusza, Ateny i Posejdona. Prace konserwatorskie tej świątyni wyróżniającej się pięknymi proporcjami, złożonym układem przestrzennym oraz plastyczną dekoracją (słynna loża Kor) nie zyskały aprobaty m.in. z powodu zastosowania gatunku marmuru różniącego się barwą od pierwotnego materiału, co w efekcie spowodowało rażącą mieszaninę kolorów.

ŚWIAT MODY

CIĄG DALSZY ZE STR. 8

wala bowiem wyobrazić sobie szkoły, do której pozwoliliby przychodzić w króciutkich szortach i staniczku z falbankami zamiast bluzki. I – słusznie, żeby nie pozwolili, bo człowiek by zmarzł po prostu. Co dobre w lipcowy upał, to we wrześniu grozi co najmarniej katarem! Niestety, wraz z końcem wakacji zmienia się bowiem i klimat. No i trzeba się zacząć troszeczkę inaczej przyodziewać.

Ot, chociażby w... spodnie. O których trochę zapominamy, gdy lato jest upalne. A przecież bezustannie są na tzw. szczycie panującej mody. Właściwie, to można powiedzieć, że już nie są ani modne, ani niemodne, po prostu są i być muszą, bez spodni nie można sobie wyobrazić życia. Przychodzi to tym łatwiej, że aktualnie w dziedzinie spodniowej panuje duża dowolność fasonowa. W gruncie rzeczy każde spodnie nadają się do noszenia i o żadnych nie można powiedzieć, że są „z dna starej szafy wyciągnięte". Wśród tych „wszystkich modnych" są oczywiście bardziej i mniej... powszechnie używane. Do tych, które się wybijają jakoś bardziej niż inne, należą spodnie szerokie, z szerokimi, rozszerzającymi się ku dołowi nogawkami. Dotyczy to zarówno spodni wizytowo-wytwornych (z cienkich, lejących się materiałów szytych) jak i całkiem codziennych, takich jak dżinsy. Kto ma więc w planie inwestycję w postaci jakichś nowych portek – polecam tę informację bacznej uwadze. Tak mi się bowiem wydaje, że przejście w jesień w spodniach, a szczególnie w najmodniejszych spodniach, jest jakby mniej bolesne...

RIUSZKA

ŚWIAT NA KÓŁKACH

NISSAN PRAIRIE PRO

CIĄG DALSZY ZE STR. 8

Zapłon ma elektroniczny. Układ wydechowy wyposażono w katalizator.

Obroty od silnika przekazywane są w obydwu wersjach napędowych poprzez 5-przekładniową skrzynię biegów.

Wszystkie koła pojazdu zawieszone są niezależnie. Hamulce przednie tarczowe w wewnętrznym chłodzeniem, tylne bębnowe.

Dane wielkościowe: długość 4360 mm, szerokość 1690 mm, wysokość 1630 mm, rozstaw osi 2610 mm, w wersji 4x4 rozstaw osi wynosi 2595 mm, a wysokość 1650 mm.

Ciężar pojazdu 1250 kg, wersji 4x4 – 1379 kg.

Prędkość maksymalna 170 km/h, samochód z napędem na cztery koła osiąga prędkość maksymalną 160 km/h.

ZENON DUTKIEWICZ

UŚMIECH NUMERU

PANI MĄDRALOWA kupuje sobie w sklepie suknię.

– Tylko proszę mi podać o dwa numery większą! – zwraca się do ekspedientki.

– Dlaczego?

– Bo chcę wyglądać, jakbym straciła na wadze...

– ☆ –

ZANIEPOKOJONA Mądralówna pyta mamę:

– Mamo, dlaczego przed chwilą pokłóciłaś się z tatą?!

– Widzisz, tata poszedł trzepać dywan; popatrz, jak mocno i skutecznie wali! Gdybyśmy się nie pokłócili, połowa kurzu zostałaby w dywanie...

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, telex 81-36-58. ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42. **Sekretarz redakcji** Michał Malicki, z-cy sekr. red. Grzegorz Burakiewicz i Małgorzata Szczepańska tel. 28-25-48. **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 21-98-28), Ewa Kosińska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13), Wojciech Wróblewski (dz. fotoreportażu tel. 21-98-28). **Graficy:** Marlena Hanke, Szarlota Pawel i Magdalena Piotrowska. **Redaktorzy techniczni:** Danuta Drygalska, Grażyna Pajorkowska i Barbara Zając. **Kierownik korekty:** Barbara Boguszewska; korektorki: Maria Marasek i Irena Ochrymowicz. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49, wewn. 403. Cena ogłoszeń 700 zł za 1 cm². Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: Państwowy Bank Kredytowy III OM Warszawa, nr 370015-5757-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
SKŁAD: Zakład Poligraficzny Młodzieżowej Agencji Wydawniczej w Warszawie.
Zam. A-347/89. A-46.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Łodzi Zam. 2441/89

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 106 (4656)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

Romek i Atomek

26

ODCINEK

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

ŚWIAT MODY

PRZEJŚCIE W JESIEŃ

Mam nadzieję, że doceniacie, iż przejście z lata w jesień (z wakacji w niewakacje) czynię bardzo delikatnie i systematycznie Was do tego ciężkiego przeżycia przygotowuję. Już w zeszłym tygodniu zaczęłam o tym napomykać. Człowiek powinien być bowiem do takich trudnych chwil przygotowany, wtedy szok jest mniejszy i jakoś łagodniej taki ciężki moment przeżywa.

Wakacje różnią się od niewakacji (niewakacje od wakacji) nie tylko tym, że trzeba na ósmą rano do szkoły gnać, ale również ciuchami, które się nosi. Najbujniejsza fantazja nie poz-

CIĄG DALSZY NA STR. 7

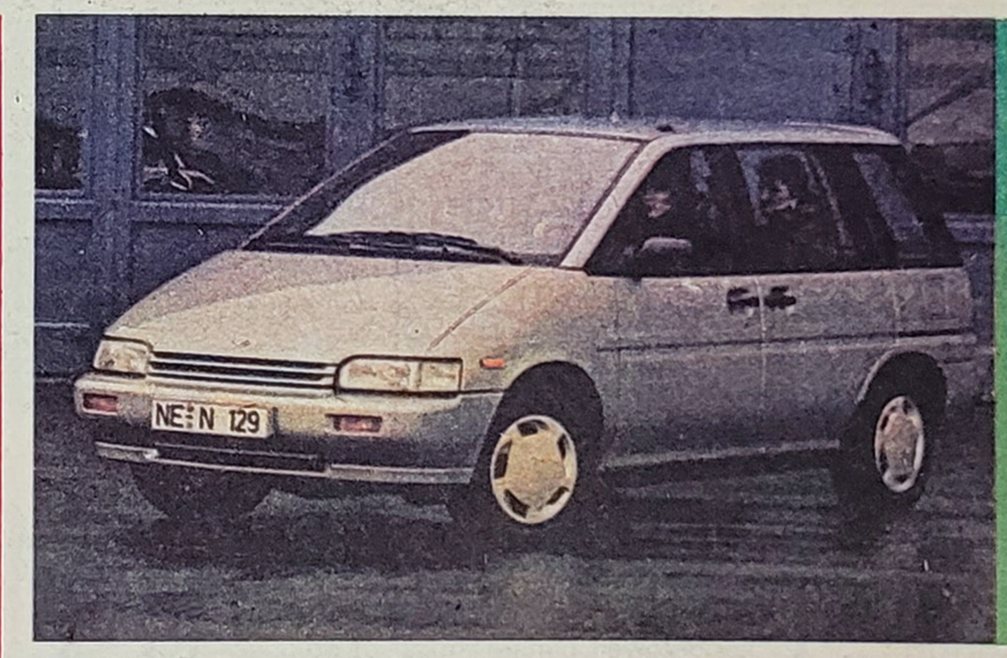

ŚWIAT 4 NA KÓŁKACH

NISSAN PRAIRIE PRO

Nie potrzeba prawdopodobnie już nikogo przekonywać o tym, że Japończycy zaczynają wysuwać się na światowego lidera w zakresie wytwórczości samochodów osobowych.

Nowoczesne i niekonwencjonalne rozwiązania konstrukcyjne stosowane w seryjnym wytwarzaniu pojazdów, duża różnorodność typów i ciągle zwiększający się eksport samochodów to najbardziej widoczne przykłady tego przodownictwa.

W tym wyścigu do stania się najlepszymi zaczynają narzucać światu własne koncepcje konstrukcyjne i style w kształtowaniu brył nadwozi, a jeszcze tak niedawno skrzętnie podpatrywali i naśladowali to, co powstawało w renomowanych wytwórniach europejskich i północnoamerykańskich. Pomimo tego zdarza się im jeszcze teraz naśladować rozwiązania innych wytwórni, a przykładem takiego naśladowania jest mikrobus NISSAN PRAIRIE PRO. Jego stylistyka upodobniona została nieomal w całości do bryły nadwozia RENAULTA ESPACE.

Jednakże w takim postępowaniu projektantów firmy Nissan nie dostrzegam działania mającego na celu pójście na tzw. łatwiznę, lecz dopatruję się racjonalnego działania, gdyż stworzony przez Francuzów wzór stanowi w tej chwili najbardziej optymalne rozwiązanie.

Tak więc, pomimo zdobywania ciągłych doświadczeń w konstruowaniu samochodów i opanowaniu w tym zakresie najnowocześniejszych technologii, nie pokusili się Japończycy o własne rozwiązanie uznając francuski wzór za godny naśladowania. Być może w najbliższym czasie sytuacja taka się już nie powtórzy, gdyż firmy japońskie zapowiadają, że od przyszłego roku są w stanie w okresach rocznych zmieniać konstrukcję i kształt produkowanych pojazdów. Oznacza to, że corocznie będą mogli zmieniać model oferowanego samochodu.

Pierwszy model NISSANA PRAIRIE ukazał się w 1982 roku. Ten przypominający RENAULTA ESPACE wszedł do produkcji w roku bieżącym i dodatkowo oznaczony został symbolem PRO.

PRAIRIE PRO wytwarzany jest w dwóch wersjach: z napędem na przednie koła i w wersji o 20% droższej, z napędem na cztery koła. Ta droższa wersja oznaczona jest dodatkowo zestawem cyfr 4x4.

Samochód posiada samonośne nadwozie z dużą powierzchnią oszklenia. Największa jest przy tym szyba przednia, nachylona pod dość ostrym kątem. Po obydwu bokach nadwozia znajduje się 2 drzwi, przy czym tylne otwierają się poprzez ich przesuwanie wzdłuż boków do tyłu. Okna w drzwiach otwierają się za pośrednictwem silniczków elektrycznych. Ustawianie lusterek zewnętrznych odbywa się również elektrycznie. Drzwi posiadają centralną blokadę.

Wnętrze pojazdu przeznaczono dla przewozu 5 osób lub po złożeniu siedzeń tylnych do przewozu ładunków o wadze do 600 kg.

Silnik w samochodzie umieszczono z przodu. Jest to jednostka czterocylindrowa, z rzędowym układem cylindrów, chłodzona płynem, o pojemności roboczej 1974 cm sześc. i mocy 72 kW, uzyskiwanej przy 5200 obr/min. Stopień sprężania wynosi 8,5:1. Zasilanie w paliwo, którym jest benzyna, odbywa się za pomocą wtrysku paliwa systemu L-Jetronic.

CIĄG DALSZY NA STR. 7